

MARCIN KULA
Uniwersytet Warszawski (emeritus)

AUTOR ZADOWOLONY Z CZASÓW, ŚRODOWISKA... I Z SIEBIE*

Środowisko zawodowe powinno budować swoją tradycję. Jako historyk cieszę się z każdego pamiętnika ją zaświadczonego. Nawet jeśli czy to my, czy nasi następcy, przemielimy go bezlitośnie, to trzeba mieć co mielić. Poza wszystkim czas płynie i nie tylko najdawniejsze sprawy są ważne i ciekawe. Pamiętnik Jerzego J. Wiadra jest tym cenniejszy, że ma on dobrą pamięć — albo dobre notatki. Pamięta, z kim się spotkał, na której z masy konferencji, pisze, z kim się zaprzyjaźnił, do czego musiał mieć nadzwyczajny talent, skoro to wielka liczba ludzi. Jego rozmówca, prof. Kozłowski, też socjolog, zna sprawy na tyle dobrze, że wie, o co pytać.

Jako człowiek, który przeżył życie w środowisku częściowo nakładającym się z autorskim, czytałem książkę z ogromnym zainteresowaniem. Niejedno widzę inaczej (uwaga porządkowa: jako historyk, tymi słowami właśnie zaczynam mielenie — co jest dla mnie tym łatwiejsze, że historiografia i historycy w książce

praktycznie nie pojawiają się!). Niezależnie od mojego widzenia książka ma wszakże tę zaletę, że chyba w żadnym punkcie nie odrzuca. Zdarzają się pamiętnikarze, którzy u schyłku drogi zawodowej usiłują załatwić żale i pretensje z całego życia. W tym wypadku nic z tych rzeczy. Generalnie Jerzy J. Wiadrę mówi o ludziach dobrze, o niektórych lepiej niż sam ich wspominam. Wśród socjologów wytyka chyba tylko prof. Chałasińskiemu postawę zajęętą w „marcu” (a ja, pisząc kiedyś na ten temat, oszczędziłem Chałasińskiego, gdyż przykro mi było przypominać, jak zbrudził swoją opinię badacz o cennym dorobku!). Dobrze mówi o prof. Ossowskim, choć ten kontakt okazał się w jego wypadku niedrożny od pierwszego podejścia do pracy doktorskiej. Zaznacza swoje porażki na przykład w glosowaniach, ale nie przedstawia odczuwanych z pewnością żalów. Fakt, skądinąd karygodny, rzucenia jajkiem w niego jako Ministra Edukacji podczas wizyty na UJ, pomija. Nie jestem psychologiem, nie mnie oceniać, czy autor „po prostu” miał i ma dobre nastawienie do ludzi, czy jest to element autoprezentacji jako części środowiska, złożonego przecież także z tych jego elementów, do których niekoniecznie mu było najbliżej. Prawda, że UW, a zwłaszcza niektóre wydziały, miały niezłe stosunki koleżeńskie, ale to mogło nie być aż takie proste.

Bardzo wciągnęła mnie ta książka jeszcze z paru powodów. Jest napisana zwykłym, a nie naukowym językiem. Można ją czytać. Chociaż

Adres do korespondencji: j.m.kula@uw.edu.pl; ORCID: 0000-0002-2539-6895

*Jerzy J. Wiadrę, Paweł Kozłowski, *O socjologii w Polsce Ludowej rozmów jedenaście*, Instytut Historii Nauki im. Ludwika i Aleksandra Birkenmajerów PAN, Centrum Europejskie UW, Europejska Wyższa Szkoła Prawa i Administracji w Warszawie, Warszawa 2022, stron 216, ilustracje.

mówi o środowisku nieźle mi znanym, rozszerzyła moją wiedzę o grupach zupełnie mi obcych. Autor szedł drogą mało typową dla środowiska. Praktycznie funkcjonował jednocześnie w socjologii polskiej i zagranicznej, także jednocześnie w uniwersyteckiej socjologii oraz w nieznanym mi świecie polityczno-partijnym. Książka zainteresowała mnie w końcu jako pamiętniki człowieka, którego znam z grubsza biorąc od początku studiów, nawet jeśli niekoniecznie blisko. Niektóre nasze kontakty wyraźnie zapamiętałem. Prof. Wiatr był na przykład recenzentem mojej pracy habilitacyjnej (IH PAN, 1976). Jednocześnie znajomość autora utrudnia podejście do tekstu pamiętnika z dystansem. Spróbujmy zatem mówić bardziej o sprawach niż o ludziach. Jako historyk chciałbym w ogóle analizować historię bez nazwisk; żałuję, że tak się nie da.

O wybranych sprawach będę mówił wyłącznie przez odniesienie się do recenzowanej książki, a nie do całości dorobku autora. Za mało ten dorobek znam albo zbyt mało pamiętam. Ktoś pewno zanalizuje go zawodowo, co nie będzie łatwe z uwagi na masę książek i różnorodnych publikacji. Autor był (jest) niezwykle płodny, co nie jest przyjęte w naszym środowisku naukowym. Może była to cecha środowiska prof. Hochfelda, na przykład Zygmunt Bauman też pisał dużo, inni także. To nie jest zarzut z mojej strony, bowiem sam pewno mam taki grzech na sumieniu. Bardziej niż potencjalny grzech przeszkadza mi zresztą to, że akurat niedawno przekroczyłem pojemność półki, którą przeznaczyłem na własne publikacje. Mam do nich więcej wątpliwości niż — jak się zdaje — autor do swoich po latach, choć najczęściej pisałem na tematy mniej istotne politycznie.



Wydaje mi się, że autor zbyt mało zwraca uwagi na różnorodne uwarunkowania stwarzane przez PRL. Tak, wiem, po 1956 roku trudno mówić już o totalitaryzmie (nawet jeśli elementy nośne konstrukcji przetrwały do końca).

Wiem, że po „Październiku” Polska była inna niż wszystkie Kraje Demokracji Ludowej (KDL) z Albanią na dole skali. Zgadzam się z autorem, że w sferach uczelniano-humanistycznych występowało sporo pól, gdzie polityka oraz ideologia nie były problemem. Wiem, że — z grubsza biorąc — można było albo uznać, że sytuacja geopolityczna stwarza pewne realia albo zająć się czymś poza humanistyką. Choć dziś często uważa się, że „wszyscy” walczyli z komunizmem, to Ossowskich, piszących do szuflady, wielu nie było i nie mogło być (żeby była jasność: samemu nie przypisuję sobie obalenia żadnego ustroju). Nie da się przesądzić, kto bardziej przyczynił się do ewolucji sytuacji w sensownym kierunku (zakładając, że dzisiejsza jest sensowna, co nie jest pewne): czy ci, którzy pozostali na boku i w dobrym wypadku pisali do szuflady, czy ci, którzy, zachowując rozsądne granice, pchali kraj ku lepszemu, nawet z wewnątrz. Dziś o tyle nie jest to już zresztą problemem, że o zasługach tych rozsądnych „z wewnątrz” na ogół zapomniano, a ich też zalicza się do ogólnego worka.

Pytanie jednak, które najczęściej warto by stawiać, nie brzmiałoby, czy ktoś był „za”, czy „przeciw”, ale w którym miejscu skali się sytuował. Gotów jestem przyjąć, że prof. Schaff miał swoje zasługi, że w ogóle był lepszy niż dyrektorzy porównywalnych instytutów w ZSRR. Nie mam kompetencji do oceny go jako filozofa, ale z pewnością nie był to urzędnik partyjny, oddelegowany do filozofii. Wiem, że niejednej osobie w kłopotach „po prostu” pomógł. Nie zmienia to jednak faktu, że dla masy ludzi był on partyjnym ideologiem (dopóki go prawdziwie okropni towarzysze nie wyrzucili). Rozpętana przezeń dyskusja o „ankietomanii” była szeroko odczuwana jako czerwone światło dla socjologii — choć przy ówczesnej ogólnej mętności wszystkiego może miała być parawanem dla socjologii, któż to wie? Schaff często grzmiał, a nie zawsze było jasne, kto miał być odbiorcą przekazu.

Wbrew dzisiejszym poglądom masy ludzi gotów jestem przyjąć, że gen. Jaruzelski uchronił nas przed interwencją „braci”. Wiem, że oni

nie chcieli interweniować, ale nie mam wątpliwości, że w pewnych sytuacjach przekonaliby sami siebie, że trzeba. Nadto gen. Jaruzelski nie mógł nie pamiętać interwencji ZSRR na Węgrzech i Układu Warszawskiego w Czechosłowacji. Nie zmienia to jednak faktu, że swego czasu był szefem GZP, potem ministrem obrony, a swój zamach stanu musiał robić przynajmniej w jakimś kontakcie z wojskowymi „braćmi”. No dobrze, niech złamię własny zamiar. Czy sam autor nie miał większych możliwości zawodowych jako „swój”? Czy to nie zwiększało jego „siły przebicia” — w kategoriach ludzkich i tak chyba dużej (nie mam wątpliwości, że ona dla drogi naukowej jest co najmniej równie ważna jak wiedza itd.) Czy każdy młody asystent lub doktorant, spośród zawodowo dobrych, miał szansę zostać włączonym do delegacji na międzynarodowy kongres swojej dyscypliny? Czy, jako nie „swój”, prof. Wiatr prowadziłyby życie jakby na dwóch płaszczyznach: krajowej i zagranicznej (międzynarodowej)? Nie było wielu, którzy funkcjonowali właściwie równolegle w dwóch światach. Oczywiście, trudno zane-gować, że co najmniej równie ważną przesłanką było to, że zachodnie uniwersytety i stowarzyszenia chciały Profesora. Czy, gdyby nie był „swój”, mógłby on jednak prowadzić program międzyresortowy na temat, jaki wybrał i badania międzynarodowe w tej skali? Oczywiście dobrze, że wykorzystał swoje możliwości na takie cele, a na hawajskiej plaży spędził relatywnie mało czasu (1985!). Może (do pewnych granic) trzeba iść drogą, z której można korzystać. Sam też jeździłem, jak wielu historyków. Warto jednak zdawać sobie sprawę z sytuacji. Jeszcze jedno. Nie umniejszając osobistych zalet autora, wiedzy itd., nie wątpię, że dla wielu zachodnich rozmówców był interesujący właśnie jako sytuujący się blisko systemu. Zachód często chciał widzieć ludzi bliższych władzy, po pierwsze, by móc zapraszać też innych, po drugie, by się czegoś dowiadywać, po trzecie, by ich rozmiękczać. Ta polityka dała efekty długofalowo. Nie wątpię, że za wyborem prof. Szczepańskiego na stanowisko prezydenta Międzynarodowego Sto-

warzyszenia Socjologicznego przemawiała jego wiedza i osiągnięcia badawcze — ale nie wątpię także, że również geopolityka. Inaczej mówiąc: nawet przy sprzyjającej geopolityce człowiek bez osiągnięć nie zostałby wybrany. Znany mi jest wypadek, gdy chyba w 1970 roku Akademia Nauk ZSRR chciała wprowadzić do władz stowarzyszenia międzynarodowego jednego ze swoich dygnitarzy. By mu ułatwić, przetłumaczono na angielski jego „dzieło”. Gorszej klody pod nogi trudno było mu rzucić. Bliskość tutejszego establishmentu mogła wszakże pomagać.

Autor pisze o porównawczo (w różnych płaszczyznach porównania) niezłych możliwościach polskiej socjologii po 1956 roku. Ma rację. Nie byłoby źle jednak pamiętać o tym, że były to możliwości relatywne. W końcu cenzura istniała, Wydział Nauki KC podobnie, w wielu instytucjach naukowych referaty wysyłane zagranicę były zatwierdzane (mniej skreślono informację, że w 1920 roku Armia Czerwona przegrała pod Warszawą...). Były całe obszary badawcze, których uczciwy historyk, pewno też socjolog, nie dotykał (i to nie tylko z zagadnień najnowszych spraw „bratnich” krajów, co Wiatr odnotowuje). Nie wszystkie tematy mogły stać się tematami badania opinii i nie wszystkie ich opracowania były publikowane, a przynajmniej szerzej dostępne. Oczywiście dobrze, że chyba najbardziej znane badania Stefana Nowaka nad studentami w ogóle zostały przeprowadzone, ale zatrzymanie rozpowszechniania ich wyników było tym bardziej charakterystyczne, im mniej były obrazoburcze dla władz. Samo przeprowadzanie badań opinii było ważne jako znak ku rządzącym i w dół też, że ludzie mogą mieć i mają różne opinie, czego władze przez lata nie lubiły.

Niektóre instytucje, z którymi był związany autor, miały często fatalną opinię — jak Wojskowa Akademia Polityczna (WAP) czy Instytut Podstawowych Problemów Marksizmu-Leninizmu (IPPM-L, *vulgo* „Marlena”). WAP był dla mnie czymś strasznym — choć nie wysłałem antykomunizmu z mlekiem matki. Sama rola oficera politycznego w wojsku podobnie.

Tak, wiem, byli wśród nich też normalni ludzie. Chętnie wierzę, że autor usiłował pchać WAP w lepszym kierunku. Nie zapominam, że nie chciał wejść do korpusu oficerskiego, gdyż przeszkadzałoby mu to jeździć zagranicę, a w ogóle jego romans z tą instytucją skończył się po 1968 roku. Niemniej jednak sam nie wyobrażam sobie siebie w tej uczelni (sytuacja z wielu powodów czysto hipotetyczna!). Był moment, gdy Minister Spraw Wewnętrznych Franciszek Szlachcic zapraszał socjologów na odczyty w Akademii Spraw Wewnętrznych. Rozumiem dylemat przynajmniej niektórych zapraszanych (niech ta kadra będzie w każdym razie mądrzejsza...). Sam jestem jednak szczęśliwy, że chociażby przez mój ówczesny wiek i małe zaawansowanie zawodowe zaproszenie w moim wypadku nie wchodziło w grę. Chcę wierzyć, że grzecznie podziękowałbym (choć, kto wie?). Inna instytucja, którą autor nawet kierował i którą chwali, to wspomniany IPPM-L. Wierzę, że był sensowniejszy niż analogiczne instytuty w wielu „bratnich partiach”. Mógł nawet zrobić różne ciekawe badania i ekspertyzy (brane pod uwagę przez decydentów lub nie). Przypuszczam, że sytuacja „Marleny” przypominała tę Zakładu Historii Partii przy KC PZPR. Ów Zakład i jego czasopismo były najsensowniejsze w obozie „pokoju i socjalizmu, ze Związkiem Radzieckim na czele”. Tamtejsi pracownicy mieli dostęp do zamkniętej dla innych dokumentacji (nb. nie tylko wytworzonej przez PPR/PZPR), więc po odrzuceniu sosu, którym były przyprawione przygotowywane przez nich dania, mogły być one nawet smaczne. Niemniej jednak szeroka opinia czy to o „Marlenie”, czy o Zakładzie, była zła.

Jeżeli mogę na chwilę odejść od spraw związanych z prof. Wiatrem, to jeszcze jeden wykład. Nie zapominam, że Instytut Kształcenia Kadr Naukowych przy KC PZPR (IKKN) wykształcił między innymi ludzi, których by się nie powstydzili najlepsze uczelnie (zresztą nie powstydzili się, gdy ich przyjęły po latach jako emigrantów). Pamiętam słowa Adama Scha-fa, który IKKN-em kierował, że dla pracujących

nad tematyką religii (Kołakowski!) sprowadzano tam jakieś wybitne, zachodnie publikacje. Znam sensowne sprawozdania tamtejszych doktorantów (doktorantów w naszej terminologii) z zakładów pracy, do których ich wysyłano na staże. Wiem, że to było nieporównywalnie lepsze niż wszystkie Wojewódzkie Uniwersytety Marksizmu-Leninizmu (WUML-e) i szkolenia ideologiczne w zakładach pracy. Pamiętam jednak akurat znany mi spis tematów różnych prac z IKKN-u... W ogóle trudno mi zaakceptować taką instytucję dla zasady. Że w różnych ustrojach, także dziś w Polsce, istnieją pepiniery adeptów wiernych naznaczonej ideologicznie elity władzy? Tak, istnieją. Nie zmienia to faktu, że mi się nie podobają. Że w każdej sytuacji trzeba korzystać z istniejących możliwości działania jak się da najlepiej? Rewizjonizm wynikł w końcu z chęci zrobienia czegoś dobrego przez ludzi generalnie akceptujących system (niektórych zresztą z IKKN-u). Trudno jednak nie zalecić ostrożności w takim wyborze, bowiem łatwo zająć za daleko.

Wracając do Jerzego J. Wiatra powolałam politologię UW. Nie wątpię, że niektorzy naukowcy z nią związani zasługiwali na ukłon. Przecież jednak trudno nie pamiętać, kiedy, w jakich okolicznościach i po co ona powstała. O „politologicznej katechizacji” dla studentów różnych wydziałów też trudno zapomnieć. Oczywiście grzechy (przynajmniej te świeckie) kiedyś ulegają przedawnieniu. Przez lata jednak ten „grzech pierworodny” ciążył nad tym kierunkiem i ośrodkiem.

Nie mam kompetencji do mówienia o dorobku naukowym prof. Hochfelda, poza tym, że jako student nie polubiłem jego wykładów. Nie miejsce tu, by mówić o drodze politycznej Profesora. Z pracą magisterską poszedłem do związanego z tą katedrą ówczesnego doc. Bauma-na (prawda, że prof. Ossowski, na którego seminarium miejsce wpierv wystąpiłem w kolejce, zmarł w 1963 r.). Miałem dobry kontakt z Marią Hirszowicz. Wszystko to nie zmienia faktu, że władze, zwłaszcza na początku, widziały w tej właśnie katedrze przeciwwagę prof. Ossowskie-

go. Po to wprowadzano drugi wykład socjologii ogólnej, jej go powierzając. Zbyteczne podkreślać, że nie mam nic przeciwko dowolnej liczbie wykładów różnych opcji. Sytuacja jest jednak inna i ma niedobre konsekwencje, gdy za wprowadzeniem drugiego wykładu jest jakieś pół-ukryte tło.

Ten, zarysowany przez autora świat jest moim zdaniem za ładny. Nawet jeśli nie piękny, to jednak ładny. Autor lubi życie, środowisko zawodowe, czasy i swoją aktywność. Otóż, nawet jeśli wtedy sam żyłem normalnym życiem i poza polowaniem na papier toaletowy nie mogę szczególnie narzekać, oraz nawet jeśli później sam mówiłem studentom, że mają analizować, że mają niuansować, a nie powtarzać, że PRL była tylko wielkim nieszczęściem, to w moich wspomnieniach ówczesny nasz świat nie pozostaje aż tak ładny.



Kolejne pytanie, jakie mi się nasuwa, dotyczy stosowalności metod amerykańskiej socjologii do rzeczywistości PRL. Nie jestem specjalistą. Z pewnością nie podejmę dyskusji nad przeprowadzoną przez Jerzego J. Wiatra analizą wyborów 1957 roku, która to dyskusja weszła do historii polskiej socjologii. Jako historyk wiem, że były w Polsce wypadki wyborów, które miały charakter plebiscytu. Cóż poradzę, że mało wierzę w ten wskaźnik za PRL? Nawet w paru zapamiętanych w historii wyborach, czy głosowaniach, było bardzo wiele uwarunkowań, których gdzie indziej nie było, a cóż dopiero w innych. Warto też pamiętać, że badano opinię, która nie mogła się swobodnie kształtować. Sam zrozumiałem, że coś się zasadniczo zmienia, gdy na targu pod Gubałówką zobaczyłem rzeźbionego orła z koroną u handlarzy „pamiątek” dla turystów. Ten fakt był dla mnie może lepszym wskaźnikiem niż wybory. Podobnie można mówić o tablicach wmurowywanych w kościołach, kościelnych śpiewach itd.

Oczywiście bzdurą byłoby mówienie, że wszyscy i zawsze byli przeciw komunizmowi.

Nawet w ruchu S znaczna część sprzeciwu wynikała z bieżących spraw, a nie ze sprzeciwu wobec ustroju *en bloc* (kiedyś robiliśmy takie badania ze studentami¹). Nie wynikało to tylko z paraliżu żądań w obawie przed „braćmi”. Nie ulega wątpliwości, że poczucie dystansu wobec PRL nasilało się bądź zmniejszało. Stosunek do tej formacji był jednak podminowany, dystans nieraz ujawniał się jak lawa z wulkanu. Jeżeli strajki były praktycznie zakazane, a nawet jeśli wybuchało ich więcej niż myśleliśmy, to je wyciszano, to nie mogliśmy wiele wiedzieć o opinii robotników. Wiem, socjologowie starali się ją poznać. Klasa robotnicza (celowo używam tego terminu) miała wszakże jeden sposób głośnego mówienia: wielki wybuch społeczny, a taki nie mógł zdarzać się często. Myślę, że ustrój w większym stopniu uzyskiwał partycypację ludzi niż legitymację. Jako historyk starałem się — i nie tylko ja — nakierowywać studentów i doktorantów na badanie tego, co w tłumaczeniu z angielskiego nazywałoby się „historią widzianą z poziomu trawy”. Na przykład nie ku badaniu stosunków pomiędzy Biurem Politycznym a Episkopatem, lecz na poziomie jednej z diecezji i w tamtejszych parafiach. Oczywiście, że ci wierni nie podejmowali czynnej walki z konstrukcją PRL, ale co najmniej — jak wtedy mówiono — jednego dnia szli na zebranie partyjne, a drugiego do kościoła. W bardzo wielu sprawach ta właśnie historia jest wyjątkowo ważna².

¹Solidarność w *ruchu*. 1980–1981. Studia pod redakcją Marcina Kuli, Stowarzyszenie „Archiwum Solidarności”, Instytut Historyczny Uniwersytetu Warszawskiego, Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWA, Warszawa 2000.

²Przykładowo kilka pozycji: Bartosz Kaliski, *Archidiecezja Gnieźnieńska w czasach komunizmu. 1945–1980*, Scholar, Warszawa 2012; Tomasz Kozłowski, *Anatomia rewolucji. Narodziny ruchu społecznego „Solidarność”*, IPN, Warszawa 2017; Łukasz Krzyżanowski, *Dom, którego nie było. Powroty ocalałych do powojennego miasta*, Czarne, Wołowiec 2016 (zmienione wydanie amerykańskie: *Ghost Citizens. Jewish Return to a Postwar City*, tłum. Madeline G. Levine, Harvard University



Rozumiem i doceniam, że autor rozwijał socjologię wojska. Zapytałbym, w jakim opakowaniu ją przekazywał w WAP, ale nawet jeśli w „strawnym” dla otoczenia, to pewno też było warto. Wiem, że można prowadzić badania nad różnymi zjawiskami tej samej klasy. Sam sprzeciwiam się stanowisku, jakoby ustroje kierowane przez przynajmniej nominalnych komunistów były absolutnym *ineditum*, niemożliwym do zestawienia w tych samych badaniach z czymkolwiek. O ile jednak mogą założyć, że relatywnie niedawne generalskie zamachy stanu w Ameryce Łacińskiej były wytworem wojska (pomijam tu rolę Stanów Zjednoczonych), to zastanawiam się, w jakim stopniu 13 grudnia wyniknęła z myśli samych wojskowych. Czy naprawdę wojsko jako środowisko poczuło się do ratowania ojczyzny, wyciągając wniosek z własnych przemyśleń? Nie wykluczam, że wielu oficerów miało swoich „wojskowych braci” powyżej czapek. Z zapisów w dzienniku M.F. Rakowskiego widzę, że gen. Jaruzelski nawet osobiście bał się ich w wypadku interwencji. Sam gen. Jaruzelski był jednak — ze wszystkiego, co wiadomo — najpewniej tylko w połowie wojskowym, a w połowie człowiekiem PZPR. Czy to wojsko zagrażało partii jako samodzielna siła? Stalin wykończył Tuchaczewskiego, bowiem ten mógł wysunąć wojsko przed partię, Hitler po zamachu w Wilczym Szańcu miał powiedzieć, że nareszcie zrozumiał, dlaczego Stalin w przeddzień wojny rozwalił armię. LWP (nazwa nieoficjalna) chyba nie zagrażało jednak PZPR? Czy było w tym

wojsku poczucie „pancernego braterstwa”³ i jak ewentualnie widziało ono otoczenie?

Nadto, wróćmy do tematu już trochę poruszanego: jak gen. Jaruzelski był postrzegany przez ludzi? Według własnych deklaracji Stanisław Kania powstrzymywał Breżniewa przed decyzją o interwencji, powołując... Powstanie Warszawskie — jako argument, że Polacy będą się bronić. Niewiele mu to pomogło w opinii (tym bardziej, że o tej rozmowie nie wiedziała!). Autor oczywiście uważa — i ma argumenty — że wielu ludzi uznało zasadność ruchu dokonanego przez gen. Jaruzelskiego 13 grudnia. Perspektywicznie generał przegrał nie pod naporem masowego odrzucenia go, lecz wskutek niemożności zreformowania gospodarki oraz kryzysu ustroju w otaczających państwach. Z tego jednak nie wynika, ażeby był uważany za swojego przez dużą proporcję obywateli (nawet jeśli jacyś prości żołnierze, którzy mnie poprosili o podrzucenie, gdy jechałem samochodem 13 grudnia rano na obrzeżach Warszawy, wytłumaczyli mi „Panie, grunt, że przyjaciele (!) nie weszli!”). Wiem też, że znalazłoby się wtedy wielu potencjalnie gorszych dla wprowadzenia stanu o dowolnej nazwie, a za mordem ks. Popiełuszki też najpewniej nie stał Generał. Zdaję sobie sprawę, że dopisek „WRON, won za Don” na ogłoszeniu o stanie wojennym, który rzucił mi się w oczy w tamtych dniach, mogła zrobić „ekstrema” (prościej: jakiś chłopak). Reakcji po zamordowaniu ks. Popiełuszki czy, powiedzmy, reakcji na przyjazdy papieża przed zdeklarowanym kryzysem (1979) i w 1983 roku nie da się już jednak tak łatwo zaklasyfikować.



Press 2020); Adam Leszczyński, *Anatomia protestu. Strajki robotnicze w Olsztynie, Sosnowcu i Żyrardowie, sierpień–listopad 1981*, Trio, Warszawa 2006; Anna Machcewicz, *Bunt. Strajki w Trójmieście. Sierpień 1980*, ECS, Gdańsk 2015, Marcin Zaremba, *Wielka trwoga. Polska 1944–1947. Ludowa reakcja na kryzys*, Znak–ISP PAN, Warszawa 2012 (wydanie amerykańskie: *Entangled in Fear. Everyday Terror in Poland. 1944–1947*, tłum. Maya Latynski, Indiana University Press 2022).

W omawianych wspomnieniach dominuje politologiczna natura autora. Mniej rozumuje jako socjolog, którym przecież też, a może przede wszystkim, jest. Tak, wiem, to nie jest

³Nawiązuję do książki: Dauno Tótoro Taulis, *La cofradía blindada. Chile civil y Chile militar. Trauma i conflicto*, Planeta, Santiago (Chile) 1998.

traktat o wszystkim. Skoro to jest jednak rozmowa (*vide* tytuł!), to pozwalam sobie włączyć się do niej — i to „bez żadnego trybu”. Otóż autor więcej mówi o wymogach geopolitycznego położenia Polski niż o idei oraz funkcjonowaniu ustroju. Odnotowuje porażki systemu, ale mało głębi kwestię ich systemowego uwarunkowania. Nie pyta, ile on miał wspólnego z marksizmem (poza podtytułem „Trybuny Ludu” i tym, co aparat PZPR akurat definiował jako marksizm). Nie pyta, czy ustrój, w którym żyliśmy, miał szansę trwać. Tak, wiem, że tego nie da się załatwić znakiem dodatnim lub ujemnym. Pozostaje jednak faktem, że ze swej konstrukcji ustrój nie potrafił się reformować, był nieewolucyjny, mnóstwo rzeczy hamował, a w końcu się zawalił (bowiem, w ostatecznym rachunku, to była przecież implozja). Zarysowany przez Jerzego J. Wiatra proces dziejowy to konsekwencja mądrych lub głupich albo błędnych decyzji, sporów między twardymi (betonem) a nurtem reformatorskim (jego własnym). Przypadkowo spotkany przeze mnie chyba w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych prof. Wiatr (doceniam, że człowieka wówczas tak bliskiego centrum władzy mogłem spotkać przypadkowo!) skwitował jakąś ówczesną decyzję, niedobłą dla uczelni, że trudno się dziwić decyzji, skoro uczelnie nie idą na rękę opcji łagodniejszej czy rozsądniejszej (cyt. z pamięci).

Trudno zanegować, że jednoosobowe bądź podjęte przez wąskie grupy decyzje błędne lub po prostu głupie miały ogromne znaczenie dla biegu dziejów. Z samej tylko drugiej wojny można na przykład przypomnieć, jak Stalin nie uwierzył doniesieniom własnego wywiadu w przeddzień hitlerowskiego ataku na ZSRR. Wiadomość o zagrożeniu Pearl Harbour jakoś powoli szła do ośrodka decyzyjnego. Konsekwencje jednego i drugiego są znane. Gdyby adiutant nie zawahał się obudzić Hitlera z nocnego snu na prośbę generała, dowodzącego na jakimś odcinku w Normandii, o telefoniczne połączenie z Führerem, to inwazja aliancka na kontynent byłaby może jeszcze trudniejsza.

Jednakowoż — jeśli wolno mi to powiedzieć starszemu koledze i socjologowi z praktyki, a nie tylko z dyplomu — w PRL zachodziły głębsze procesy. U schyłku PRL, 1 maja, w bloku, w którym mieszkam, spotkałem sąsiadkę, będącą, w moim przekonaniu, ostoją reżimu. W oczywisty sposób wracała z innego pochodu niż ja. Niosła szturmówkę. Nie zdołałem ukryć zaskoczenia aż taką gorliwością. Ona zaś wskazała palcem na czerwień szturmówki, potem pokazała czerwoną, zniszczoną podszewkę żakietu i zapytała: „Będzie pasować, prawda?”. Uznałem, że nawet w naprawionym kubraczku nie jest ona już mocną ostoją ustroju. Drugi obrazek, już po upadku PRL. Świeżo powołany na stanowisko Ministra Oświaty prof. Wiatr przyznał jakąś nagrodę czy awans (nie pamiętam) jednemu z kolegów z IH UW. Ponieważ studenci znali tego kolegę, na początku kolejnych zajęć powiedziałem im o tym (że minister Wiatr... itd.). Usłyszałem złośliwe komentarze. Powiedziałem: „Proszę Państwa, mówimy o ministrze legalnie wybranego rządu RP”. Nie polepszyłem atmosfery. Ona nie kierowała się nawet osobiście przeciw Profesorowi, którego ci studenci nie znali (podejrzewam, że jego prace też nie). Kierowała się przeciwko rządowi, który niósł pamięć o zniechęcianym ustroju. Przypuszczam, że ileś lat wcześniej mentalność studentów byłaby inna. Nadto człowiek może stać się symbolem. Jerzy Urban miał różne okresy w swoim życiu. Pozostaje faktem, że na dziś jest szeroko symbolem negatywnym z powodu działań w okresie, w którym zrobił dużo, by takim symbolem się stać. Sam jestem przeciw demonstracjom na pogrzebach, lustracjom cmentarzy, bezczeszczeniu grobów itd. Myślę jednak, że osoby, które protestowały przeciwko pochowaniu Urbana na Cmentarzu Wojskowym (11 X 2022), wyrażały opinię nie tylko swoją. Nie przywiązuję przesadnej wagi do powołanych na użytek rozmowy faktów, zwłaszcza do żakietu sąsiadki. Cieszę się jednak, że moi byli studenci idą w analizie wgłąb.

U schyłku PRL recenzowałem jedną z książek autora. Z prostej ciekawości spojrzałem teraz na nią⁴. Ku mojemu zaskoczeniu zobaczyłem, że choć minęło tyle lat i tematyka była inna (wtedy Trzeci Świat), moje myśli wo-

⁴Marcin Kula, *Wyzwanie i wezwanie*, „Dzieje Najnowsze” 1984, nr 2, s. 113–120 (rec.: Jerzy J. Wiatr, *Drogi do wolności*, KiW, Warszawa 1982).

bec sposobu rozumowania prof. Wiatra były podobne. Wtedy — pamiętam — autor powiedział mi, że z zasady nie odpowiada na recenzje. Rozumiałem i rozumiem takie stanowisko. Jeżeli jednak tamtą moją recenzję pamięta, to chętnie dowiedziałbym się, czy pomyśli, że ja się nie zmieniłem? A może obaj jesteśmy mało zmieniani — co może przemawiać za nami lub przeciw nam?